Rozmaitości

Nr 3.

Dnia 16. Stycznia 1836 Roku.

HERNANDES.

POWIEŚĆ PRZEZ KS. ABRANTES.

(Dokończenie.)

III. ŚMIERĆ.

Usiłowanie lekarzy, pieczołowitość małżonka, a nade wszystko młodość Maryi wyrwały ją z rąk śmierci. Z wiosną powróciło zdrowie młodéj matki; dusza jéj w całéj pełności oddychała odzyskanym bytem, i szczęściem. Lecz w miarę, jak się wzmacniały siły jéj przyrodzone, potrzeba było myśléć o pokrzepieniu władz umysłowych, zbolałych tyloma okropnémi wstrząsnieniami. Najbieglejszy z lekarzy, sprowadzony z Madrytu, radził nieodzowną przemianę miejsca. Alfons już przemyśliwał o tém, lecz teraz tém bardziéj chwycił się tego zamiaru.

Na wzmiankę o podróży, Maryja zbladła i zdawała się być wzruszoną. »Ty wiész dobrze, że mnie nie można wyjechać z Sewilli,« rzekła głosem drżącym.

»Dla czegożto?«

»Jako!... a zabójca?!« Maryja zadrżała i omdlała. Alfons uchwycił ją w ramiona. W téj chwili znajdowali się oni w jednéj z górnych galeryj Alkazaru. Oko donny Maryi błądząc, pada na sklepienie dolnéj galeryi, i natychmiast wyobraża sobie nieszczęśliwą Niéves, zamordowaną ręką człowieka, który dotąd żyje! a żyje z zemstą i z krwi pragnieniem!...

»A jam się nie pomściła!« rzekła głosem ponurym, »jako zasłużyłam na karę!«

Alfons więcéj niż kiedy uczuł potrzebę odmiany miejsca. Posiadał on piękny zamek w bliskości Cuensa, gdzie postanowił w najkrótszym czasie przenieść się z Maryją; lecz najwięcéj chodziło tu o sposób ukrycia pobytu téj prześladowanéj istoty. Tylko hrabia dos Arcos i gubernator przypuszczonymi byli do téj tajemnicy; i tak, młodzi małżonkowie z dziećmi i szczupłym orszakiem wyruszyli pewnéj nocy w podróż. Po drodze zwiedzili Madryt, Aranjuez i wszystkie tych miejsc osobliwości.

»Obawiam się,« rzekł Alfons, kiedy zbliżali się do Cuensa, czyli ta ustroń dzika nie stanie się przykrą dla ciebie?« Młoda małżonka z uśmiéchem spojrzała na Alfonsa i na dzieci swoje, i zdawała się mówić, że miejsce w którém otoczoną będzie najdroższémi istotami, najmilszém dla niéj się stanie.

Droga była coraz przykrzejszą, same tylko skały i przepaści. Maryja wstrzymuje nagle swego rumaka i wydaje krzyk podziwu: Byłto widok miasta Cuensa, a raczéj widok samych gniazd orlich. Na nagiéj i stroméj skale, nad którą jeszcze wyższe szczyty górują, stoją tam domy jedne nad drugiemi, tak, że wchód do mieszkań zdaje się być po dachach domów niżéj stojących. Doliną płyną dwie rzeki Huascar i Jucar; wszędzie znachodzisz tam pełno cieniu, świéżości, i wiejskiéj zaciszy, śród olbrzymich widoków skał, grożących runieniem. Obrazy te zachwycały donnę Maryję. W połowie doliny zatrzymała swego rumaka, na moście St. Pablo, rzuconym przez Jucar, z śmiałością i lekkością znamionującą dzieła architektury średnich wieków.

»Często tu będę przychodzić,« rzekła do don Alfonsa, który podzielając zachwycenie małżonki, uczuwał niewysłowioną rozkosz wewnętrzną.

»Jeżeli ten kraj tyle ma dla ciebie powabów,« rzekł Alfons, »piękniéjsze przechadzki znajdujemy w *riscos* (skałach); teraz po-

spieszać nam trzeba, bo mrok zaczyna zapadać.« W rzeczy saméj dzień już był ku schyłkowi, tylko szczyty skał rumieniły się jeszcze zachodzącém słońcem.

Zamek Benawente miał pozór zupełnie maurytański. Dziedziniec otoczony galeryjami, arkadami na wysmukłych kolumnach, komnaty obszérne, z dziwnémi rzeźbami w arabeski, z mnóstwem napisów z koranu. Maryja upodobała sobie to nowe siedlisko. Dla przerwania chwil samotnych, częste robiła wycieczki w okoliczne góry; często nawiédzała klasztor Sgo Dominika na szczycie skały. Nigdy nie była też szczęśliwszą. Życie jéj upływało w słodyczy, w spokojności pełnéj zachwyceń, które ją zbliżały do istot niebiańskich. Namiętnie kochana od człowieka, którego ubóstwiała, codziennie składała ona dzięki Opatrzności, że ją tak pobłogosławiła na ziemi. Tygodnie, miesiące upływały, a żaden przypadek nie zmieszał samotnéj rodziny w Cuensa. Maryja już nie lękała się niczego, jednakże nigdy nie wychodziła sama jedna, bo Alfons wydał rozkaz, aby jéj dwóch towarzyszyło uzbrojonych ludzi. Lecz ostrożność ta powoli sprzykrzyło się Maryi tak dalece, że w końcu dosyć dla niéj było, gdy miała piastunkę przy sobie, która małego prowadziła Pablo.

Hrabia Benavente ciągle donosił z Sewilli, iż żadnéj poszlaki nie miano o uwolnionym zabójcy; pewnego dnia wyprawił on spiesznego posłańca, który przyniósł wiadomość Alfonsowi, iż Hernandes miał pojedynek z synem księcia Ossuna, don Ludwikiem, margrabią de Pennafiel, w którym poległ. Powodem do pojedynku miało być, że margrabia Pennafiel nie chciał usiąść do jednego stołu z Hernandesem, którego nazwał p o d r z u t k i e m c y g a ń s k i m, z a b ó j c ą i p o d p a l a c z e m. Gubernater Walencyi, znając całą ważność tego wypadku, udzielił go natychmiast hrabi Benavente, który czém prędzéj uwiadomił o tém swoje dzieci, wzywając ich na powrót do Sewilli. Maryja tak sobie upodobała w Cuensa, dzieci tak wyglądały zdrowo, Alfons tak lubił w tych dzikich okolicach polować na brzegach Jucaru i Huescaru, słowem, całéj rodzinie tak dobrze się powodziło w téj miłéj ustroni, iż zamierzyli przepędzić tam całe lato i dopiéro w październiku wrócić do Sewilli. Hrabia dos Arcos, który ich był nawiédził, nie polując, ani bawiąc się rybołowstwem, stęskniwszy za Sewillą, wrócił do swego starego przyjaciela.

Z miejsc w okolicy najulubieńszych donnie Maryi, i gdzie po długich przechadzkach najchętniéj odpoczywała, byłato ustroń ocieniona drzewami, i słynąca z cudu, albowiem w pniu jednego drzewa był tam obraz Bogarodzicy, zwanéj *Sennora della-Penna*, który miał niegdyś wykryć jakiegoś wielkiego złoczyńcę.

Pewnego wieczora, w chęci odprawienia długiéj przechadzki, wyszła donna Maryja z zamku, i nie wzięła z sobą żadnego dziecka. Don Alfons był na obiedzie u biskupa w Cuensa, a Maryja tém uspokojona, że późno powróci, zjadła obiad wcześniéj, wzięła z sobą książkę, i rozkazała jednemu z służących, aby szedł za nią. Nasyciwszy się spaniałémi obrazami téj dzikiéj przyrody, w chwili, kiedy dzwoniono na *Ave Maria*, wstąpiła do klasztoru Sgo Dominika. Religijna jéj dusza potrzebowała ulgi w modlitwie, potrzebowała wewnętrznego uspokojenia. Walczyła ona długo z uczuciem swojém, czyli ma przebaczyć z a b ó j c y? Teraz on nie żyje, teraz ona żałuje prawie, że imienia zbrodniarza nigdy nie wspomniała swemu duchownemu.

W tém nadszedł jéj spowiednik, poważny kapłan; zbliżyła się ku niemu, i opowiedziawszy swoje wypadki, rzekła: »Ojcze, powiedz mi, mamże z a b ó j c y przebaczyć?«

»Przebacz, córka moja! zapomniéj o złém, które ci wyrządził, a rozważ wielkość nieszczęścia, którego stał się ofiarą. Pokój umarłym, córka moja — pokój umarłym!«

Maryja płakała całując rękę kapłana i prosząc go o błogosławieństwo. Starzec smutnie potrząsł głową i rzekł: »Nie lubię młodéj kobiéty nieprzebłaganéj. Córka moja! Udaj się przynajmniéj do obrazu Najświętszéj Panny w skale, odmów tam twój różaniec i wieczorne modlitwy.«

Donna Maryja pożegnała kapłana i smutna, zamyślona zchodziła z góry. Pogoda była piękna, a teraz po zachodzie słońca zabiérało się na burzę; wiatr szumiał po nagich opokach, a fale Jucaru rozbijały się łoskotnie o brzegi skaliste.

Maryja klęczy już przed cudownym obrazem Bogarodzicy. Maryja przebaczyć powinna zabójcy, jak dobra chrześcijanka, jak małżonka,

jak matka dzieciom... Lecz Niéves zamordowana sztyletem tego zapaleńca... sztyletem, który miał w jéj serce ugodzić... czy podobna to wszystko przebaczyć? przebaczyć krew tak drogą, tak niewinną?

»Och! nie! nie!« zawołała Maryja; »nie zdołam modlić się za duszę tego człowieka! O Święta Dziewico! użycz mi dosyć siły, abym téj potworze przebaczyć mogła!«

I wznosząc oczy ku świętemu obrazowi prosiła raz jeszcze o udzielenie jéj łaski odpustu... Lecz okropne zjawisko staje przed nią, a usta jéj ścinają się lodem...

Obok Stéj Madony widzi mężczyznę zakrytego széroklémi liściami figi dzikiéj, a raczéj widzi widmo z licem bladém, zapadłém, nie należącém do istot tego świata... Spojrzenie jego jest groźne, przerażające... Nie wyrzekł ani słowa... lecz to jest ono nieśmiertelne biédne dziecko! to Hernandes, zabójca! A Maryja tu sama jedna — i z nim tylko: sama w pustyni — przy nadchodzącéj nocy. Zbliżył się do niéj, i zniżając jéj ręce, które była podniosła ku obrazowi Madony, rzekł głosem ponurym, nieczłowieczym:

»Do mnie to, do mnie wznieść ręce, i modlić się tobie trzeba — jako jestem ową potęgą, która twém przeznaczeniem władnie.« — Ujął ją w ramiona i chciał zmusić, aby powstała, lecz Maryja, jakby potępiona na rusztowaniu ofiara, leciała z rąk jego na ziemię. Her-andes pojrzał na nią z politowaniem: »Kobiéto! wołał na nią zawsze tym dzikim głosem; »kobiéto, czego tak drzysz! Miéj litość nad sobą. Nacóż okazujesz mi tyle lękliwéj nienawiści.....« I oczy jego przyćmione mgłą długiéj choroby, ponurym zaiskrzyły ogniem.

»Słuchaj coć powiém! Przez ciebie to zostałem zbrodniarzem — przez ciebie zabójcą! Lecz jakiż powód? czy i ty do tych liczby należysz, którzy wierzą, iż ja się tylko dziecinnéj obrazy mściłem?... O nie, chciałem cię zamordować, abyś nie należała do nikogo. — Chybiłem. — Źle usłużyła ręka. — Ciebie posiadł kto inny. A teraz przychodzę po zapłatę, i za swoję, z miłości dla ciebie, popełnioną zbrodnię, i za więzy, i za tułactwo... Nie na darmoto spotkaliśmy się w drodze życia — ty musisz być moją!«

Maryja wydała krzyk, który się rozległ po skałach.

»Ciszéj!« rzekło jéj zjawisko, »powiadam, że cię miéć muszę. Żywą, lub nieżywą! od ośmiu dni krok w krok za tobą chodzę... Sztylet mój zawsze mierzy w twoje serce. A gdybym cię zabić miał był zamiar, bądź pewną, jużbyś dawno nie żyła. Rozumiesz więc, czego żądam od ciebie — ciebie saméj!«

Maryja poznała zgubę swoję. »Ach! słuchaj!« rzekła w trwodzę, »nim mię zabijesz, pozwól, niech się pomodlę... bo, uważ Hernandesie, ja twoją być nie mogę. Jestem małżonką człowieka, który jest ojcem moich dzieci... Dzieci moich!... o dzieci moje!... O Najświętsza Panno! czy już nigdy nie zobaczę się z niémi!...« I w męczarni rozpaczy załamując ręce, wzrokiem obłąkanym toczyła do koła; lecz z nizkąd nie było pomocy: wszędzie pustynia, głucha i ponura.

»Więc umrzéć muszę!« zawołała w obłąkaniu, »umrzéć! i dla czego? jakaż moja wina! o wielki Boże! Hernandes, lituj się nade mną!«

I przypełzała aż do niego, i wzięła go za ręce... za ręce krwią jéj siostry zbroczone, ściska je i woła: »Przebacz! przebacz! nie zabijaj nieszczęśliwéj matki!«

»Maryjo!« rzekł zabójca; »cały ten zawód, który od dziecięstwa przebieżałem w zbrodniach, te nieustanne zgryzoty, ta przyszłość zaludniona piekielnémi widmami, i straszniéjsza nadto wszystko rzeczywistość nieszczęśliwego — wywinęły się z zarodu trucizny, którą zasiałaś w duszy mojéj, twoim jedynie widokiem. Ty byłaś sprawczynią wszystkiego; ty wszystko naprawić możesz... Rzekniéj słowo, a dzieci twoje pójdą za nami. Idź ze mną. Zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz panią, gdzie cię wkrótce jako królową pozdrowię...« Ujął Maryję za ręce, czuł jak drżały. Nato znowu brwi zmarszczył, z groźbą na czole:

»Strzeż się! strzeż!« powtórzył głosem grobowym. »Strzeż się na niepewną grę stawiać!« potém nieco czuléj dodał: »Maryjo! to serce, ile nienawidzi, tyle kochać cię może. Któż jest, coby mi ciebie wydrzeć zdołał? Ciebie, którą kupiłem utratą zbawienia duszy własnéj!...«

Maryja modliła się i zalała łzami. Nagle zabłysło światło między górami, i rozległy się głosy wołające Maryję. Pomoc ta przybywała od strony klasztoru. Hernandes uchwycił mały róg z kości słoniowéj, który mu wisiał u boku, i wydał na nim kilka zaledwie słyszanych dźwięków. Natychmiast kilku ludzi pokazało się w krzakach fig dzikich. Hernandes przez chwilę wahał się co miał począć; lecz głosy i światła tuż, tuż zbliżały się: »Widzisz,« ozwał się do donny Maryi, »dosyć mam siły, aby cię uprowadzić ze sobą, lecz to, co dziś mogę i jutro podołam... Chcę tylko, abyś dopełniła méj woli: Żądam, abyś tu stawiła się jutro, kiedy na *Ave Maria* zadzwonią. Jeżeli dla własnego ocalenia myślisz wyprawiać za mną świętą *hermandad*, to się mocno zawiedziesz, bo moja potęga może się łamać z dumnym Filipem. Zakazuję ci wspominać o téj rozmowie. Jeżeli nieposłuszną się staniesz — drzyj, nie o siebie, lecz o męża, o dzieci swoje. Oto są moi zakładnicy!«

»Alfonsie!« jęknęła półgłosem biédna ofiara, »Alfonsie mój... ratuj swoję małżonkę!« Połysk pochodni odbijał się już na wizerunku Madony, i głos donośny młodego hrabi dochodził jéj uszu.

Hernandes przystąpił bliżéj: »Czy przyrzekasz stawić się tu jutro o zachodzie słońca?« Maryja skłoniła głowę w znak potwierdzającéj odpowiedzi.

»Przysięgniéj! Spiesz się... nim nadejdą« — »Przyjdę...« rzekła młoda kobiéta głosem mdlejącym. »Podnieś rękę, i przysięgnij na imię swojéj patronki!« Maryja podniosła rękę i przysięgła na imię patronki.

»Jeżeli mię zdradzisz... oszukasz... tém oto znajdę drogę do twojego serca, ale po trupie twego męża i dzieci!...« I połysk stali sztyletu zabłysnął w cieniu. Hernandes zniknął.

Don Alfons, przybywszy przed obraz Madony, zastał swoję małżonkę rozciągniętą na skale, bladą i zimną, jak kamień. Hrabia przypisując to skutkom znużenia po długiéj przechadzce, kazał ją włożyć w lektykę, którą był wziął ze sobą. Pieszczoty Alfonsa i jego tkliwe wołania wlały życie w zlodowaciałe serce Maryi, lecz umysł jéj bardzo jeszcze osłabiony, gwałtownego doznał wstrząśnienia. Postrzegłszy się w ramionach człowieka, śród téj ciemności, była pewną, żeto zabójca ją porwał... i wydzierając się czułym swego małżonka uściskom, wołała jęcząc: »O mój Boże! ja nic nie mówiłam nikomu... ani słowa... jako! czyto już jutro?... Pablo, mój synu! Niéves! ratujcie! ratujcie!«

»To ja jestem, ja małżonek twój!... Maryjo! czy mię nie poznajesz!«

Przybywszy do zamku, wpadła w zupełne szaleństwo. Noc ta była okropna. Jeżeli poznawała swego małżonka i dzieci, natenczas widziała ich we krwie broczących. Wszystko cokolwiek otaczało jéj łoże, nie było z tego świata, każdego, co do niéj mówił, zdawała się widzieć w całunie wstającego z trunny; w napoju czuła tylko truciznę; w każdém dotknięciu, sztylet! Słowem, śmierć była dla niéj w powietrzu, którém oddychała.

Stan tak przerażający z niewiadomych wynikły przyczyn, dawał dużo Alfonsowi do myślenia. Wszystkie, jakie mógł powziąć szczegóły o przechadzce wieczornéj donny Maryi, w niczém nie oświécały go, owszem, w okropną wprowadzały tajemnicę. Don Alfons ani przypuszczał z razu, aby zjawienie się zabójcy miało znowu jego spokojność i szczęście zamieszać. Dopiéro kiedy usłyszał wyrazy, które Maryja w obłąkaniu swojém wymawiała, spadła mu z oczu część téj zasłony, powlekającéj ten wieczór tajemniczy. Goniec został natychmiast wyprawiony do Sewilli, a z powodu podejrzeń, jakie się obudzały w duszy hrabiego, dom jego otoczony był najczujniejszą strażą.

Wypadki te zaszły współcześnie z wybuchnieniem powstania *Moriskow* w Alpuxeras; jużto po raz drugi za panowania Filipa Wtórego. Nowy ich wódz, młody, przedsiębierczy, odważny z własnéj woli, i mężny z natury, był postrachem wójsk królewskich. Syn Hiszpana i Afrykanki, z matki pochodził z królów Sewilli, których córka była królową kastylską. Powstańcy stali się strasznymi.

Don Alfons żądał, aby mu powierzono dowództwo nad prowincyją Cuensa, bo tym sposobem zdołałby łatwiéj czuwać nad bezpieczeństwem swojéj Maryi. Posępna, ustawicznie miotana trwogą, zatruwającą każdą chwilę życia, nieszczęśliwa ta kobiéta, czuła to, jak z każdym dniem byt jéj gasnął i nie żałowała tego. Maryja była ofiarą wybraną od przeznaczenia!

»Gdyby przynajmniéj krew moja mogła was od nieszczęścia okupić!« mawiała ściskając swoje dzieci; »lecz on powiedział, zabójca powiedział, że was pomorduje, jeżeli nie stawię się u Madony w skale.. a ja nie poszłam!... o Boże! ja pójść nie mogłam... ty, moja patronko, wiész najlepiéj o tém!...« Jéj dnie, jéj noce, wszystkie chwile istnienia, miały dla niéj coraz inne katusze i boleści.

Pewnego dnia nieszczęście winnéj stanęło przed nią postaci. Przeszłość tak okropna, przyszłość tak zagrażająca, wszystko było niczém w porównaniu z tém wielkiém nieszczęściem: Mały jéj Pablo, zawsze tak wesoły, tak ładny, tak zdrowy, pewnego poranku rzucił się na łono matki, uskarżając się na nieznośne bole. Twarzyczka jego rumiana i świéża, i cała powabna postać zmieniła się okropnie. Pablo niebezpiecznie zachorował, dostał szkarlatyny. Choroba ta, mało znana podówczas w Hiszpanii, była zastraszającą w samym

nawet Madrycie, a tém bardziéj na tej pustyni! Śród tylu trosek i niepokojów ożywiła się odwaga matki, czuwała ona dniem i nocą około łoża umiérającego syna, z zapomnieniem o własnych swych cierpieniach, o istocie, którą zawsze na myśl wiodła jéj trwoga; cała przeszłość znikła z jéj pamięci, rażonéj ogromniéjszém nieszczęściem!... Biédna Maryja! ileż ona cierpi!... przez pietnaście dni i nocy trzyma na swojém łonie rozpaloną głowę umiérającego syna. Lekarz czynił niekiedy nadzieję, lecz Maryja patrząc na to dziécię, niegdyś tak hoże i zdrowe, a teraz pałające gorączką śmiertelną, smutnie wstrząsała głową; ze łzami błagała Matki Najś. Posyłała hojne ofiary nie tylko do klasztorów miejskich, ale nawet i do klasztoru na górze. Cudowną Bogarodzicę w skale kazała przyozdabiać wieńcami, i wszystkiém, do czego pobożność ją pobudzała. Pewnego razu przyniesiono Alfonsowi papiér, na którym wypisane było wielkiémi głoskami: »Pablo powinien umrzéć, własna potępiła go matka.« Hrabia spalił ten straszliwy dowód istnienia owego potworu. Podwojono poszukiwania, i nic nie odkryto.

Pewnego dnia lekarz po zwykłych odwiédzinach odjeżdżał z zamku, czyniąc nadzieje, że jeżeli przesilenie nastąpi, dziécię może do zdrowia powrócić. Maryja, utkwiwszy wzrok swój w oczy nabrzmiałe i przymknięte swego syna, śledziła każdy ruch jego, każde spojrzenie. Ku wieczorowi zaczęło dziécię jęczéć i rzucać się. Maryja w tylu jękach widziała nię przepowiednię lekarza, lecz skonanie. »Jeżeli nie chcesz mię widziéć piérwéj nieżywą,« zawołała do Alfonsa, »jedź za don Baltazarem do Cuensa; ty sam jedź Alfonsie, lekarz prędzéj posłucha ojca, niż sługę.«

Don Alfons pocieszał omdlewającą z rozpaczy małżonkę; zaklinał, aby się uspokoiła, zaręczając, że nie powróci tylko z don Baltazarem. Natychmiast w towarzystwie cztérech dobrze uzbrojonych służących puścił się do Cuensa, kazawszy wprzód przeglądnąć zamek, zamknąć bramy i most zwodzony podnieść.

Gorąco było nieznośne. W pokoju, w którym leżał chory Pablo niepodobna było wytrzymać. Maryja wstała i otworzyła okno, wychodzące na taras, obwiedziony fosą zamkową. Fosy te głębokie i napełnione wodą odpływającą, stanowiły najgłówniéjszą zamku obronę, i w téj gorącéj nocy chłodem swoim mile ożywiały wrzącą piers Maryi. Zanosiło się na burzę... żadnéj gwiazdy na niebie... żaden liść się nie ruszy... żaden odgłos nie przynosi dalekiéj piosenki. Słychać tylko głuchy szum wód Jucara w jego granitowém łożysku. Zdawało się, że całun śmierci powlókł tę uroczą okolicę. Byłażto przepowiednia dla matki? przez kilka chwil oparta stała na poręczy tarasu, przysłuchując się, czyli tętent kopyt końskich nie zapowiada powrotu don Alfonsa, lecz nic słychać nie było. »Jakżem szaloną,« rzekła do siebie, »to rzecz niepodobna, aby tak prędko mógł wrócić.« W téj chwili jęk cierpiącego syna wezwał ją; nié miał on się lepiéj, i owszem widać było, iż walczył z tym snem śmiertelnym, w którym od ośmiu dni zostawał. Donna Maryja, usiadłszy przy łóżku, z oczyma wlepionémi w najmilszy jéj przedmiot, zapadała w owe otrętwienie, w ową senność, która mimo oporu, obejmuje zmordowane zmysły. Głowa jéj ociężała, upadła na gorącą rękę Pabla, przywarły się czuwające oczy, które otwiérała kiedy niekiedy, ile razy jęk dziecięcia ją przebudził. Wkrótce natura przemogła wolę, Maryja usnęła snem mocnym, lecz tyle udręczającym, ile samo czuwanie. Maryja widzi umiérającego syna — widzi Niéves — i to biédne dziécię! Znowu zdało się jéj, że jest u Madony w skale, że tam ujrzała tę fantastyczną istotę. Znowu słyszy dźwięk rogu Hernandesa. Widzi swego małżonka, ojca, i tysiące innych coraz straszniéjszych obległo ją marzeń.

Nagle jakieś niepojęte przenika ją uczucie... ręka ciężka i zimna opiéra się na jéj ramieniu; powieki snem obciążone podnoszą się powoli — i, spotykają dwoje ócz, wlepionych w siebie... Krzyk okropny rozlega się po gmachu... to Hernandes — to on — z długim sztyletem w ręku, w obec niéj stanął... a ze sztyletu krew ciekła.

»Milcz!« rzecze zatykając grubijańsko usta Maryi. »Milcz! musisz zginąć z mojéj ręki. Mógłem cię był we śnie zabić, lecz chciałem, abyś wiedziała o tém, że umiém karać, i że wynagradzać mogę... Zdrajczyni! nie tylko żeś dane złamała słowo, ale nadto zaprzedałaś mię mężowi swemu. Wnet odbierzesz za to słuszną zapłatę...« I roześmiał się wściekle, wywijając nad głową Maryi szérokim i długim sztyletem, z którego krople krwié padały na twarz nieszczęśliwéj kobiéty.

»O! o! hrabino Benavente!... przyszedł czas na ciebie!« I podnosząc ją pół martwę z ziemi, miał w niéj utopić żelazo, kiedy, niespodziéwana zjawia się przeszkoda. — Jakaś istota, któréj nie może odgadnąć, rzuciła się na niego, i wpoiwszy weń paznokcie swoje, wydziéra mu oczy, i twarz kaleczy. Hernandes, pomieszany tą napaścią, zwyciężony bolem, i zagłuszony dzikim wrzaskiem swego przeciwnika, wypuścił z jednéj ręki sztylet, a z drugiéj ofiarę swoję, aby się zastawił nieprzyjacielowi, którego zrozumiéć nie może. Oswobodzona Maryja poznaje kto jest jéj wybawcą... Przebóg! to syn jéj!..., własne jéj dziécię!... Widok ten nie tylko dodaje jéj odwagi, lecz i sił użycza. Maryja wzywa pomocy —

wzywa Juany, jednéj z kobiét, będących zawsze przy niéj. — »Już ona się nie odezwie!« rzekł Hernandes, i poznawszy nieprzyjaciela, który go napadł, uderzył w biedne dziécię z taką gwałtownością, że krew je oblała.

»Poczwaro!« krzyknęła Maryja, zakrywając syna swego własnémi piersiami.

Uśmiéchnął się Hernandes; twarz jego krwawa pokaleczona, przybrała straszniéjszy jeszcze wyraz. Wzrok jego szukał wytrąconego sztyletu; przypada do łóżka, na którém Maryja tuląc swego syna wydawała przeraźliwe krzyki, postrzega żelazo, i już chce ugodzić w Maryję; lecz w niéj obudziły się wszystkie siły matki broniącéj dziecięcia, i odwaga istoty żyjącéj, która własnego życia broni. Nierówna rozpoczyna się walka. Niewiasta miała uledź, gdy w tém na galeryi rozległ się tupot zbiegających się sług na jęki swéj pani... Hernandes ryknął; wyrywa z rąk Maryi sztylet, uderza ją, i dopełniwszy dzieła zemsty, skacze na taras, a ztamtąd w fosę, którą wpław przebywa i na drugim brzegu z dzikim śmiechem odpowiada na przekleństwa ścigającéj go służby... Ci powróciwszy z pogoni zastali swoje panią bez przytomności, lecz szczęściem bez niebezpieczeństwa życia; zabójca chybił — sztyletem ugodził ją w ramię. Biédna matka ciałem swojém okrywała swego wybawcę, swoje dziécię, które nato wróciło do życia, aby je własnéj matce ocalić.

Pablo przerażony krzykiem matki, i widokiem zabójcy, obudzony już ze snu letargicznego, odzyskał wszystkie władze młodocianéj swojéj duszy; zawsze razem z matką, obeznany z wszystkiémi jéj trwogami, na widok tego człowieka zrozumiał całą okropność jéj położenia. Lubo wycieńczony chorobą, lecz utrzymywany stanem gorączkowym i dziecięcym instynktem, bez wyrachowania, bez zastanowienia się nad wielkością niebezpieczeństwa, rzucił się na zabójcę, kaleczył go zębami i rękoma, i siłą dziecięcia siedmio-letniego wytrącił oręż morderczy. Pablo odniósł ranę zaszczytną, która świadczyła o jego poświęceniu się.

Juanę znaleziono nieżywą. Hernandes ugodził ją w serce, zapobiegając, aby z nikąd pomocy nie miała Maryja.

Hernandes, widząc się znowu pozbawionym swojéj ofiary, wydawał krzyki wściekłości; bluźnił Boga, siebie samego przeklinał, że we śnie jéj nie zabił, że nie zabił jéj syna, a nade wszystko jéj męża, tego dumnego swojém znaczeniem i bogactwem. Dzika i niepojęta jego namiętność ku donnie Maryi, tchnąca tym duchem zemsty, biorącéj górę nad samą miłością, wprawiała go zawsze w obłąkanie, którego początki okazały się już w czasie jego długiego więzienia. Z tém wszystkiém, jako naczelnik powstańców w Alpuxaras, zawsze dawał dowody zdrowego rozsądku, i nie tylko odwagą, ale i zręcznością prowadził swoich do boju. Hernandes w szalonéj rozpaczy stał na wysokiéj skale górującéj nad zamkiem... Tam on widzi Maryję, która żyje, która z synem swoim się pieści. On tam był, a nie dokonał zemsty. Cóż go wstrzymywało... Hernandes przeklinał siebie. W tém rozległ się głuchy tętent około mostu St. Paolo. Byłto hrabia wracający z don Baltazarem. Dziki uśmiéch pobiegł po ustach Hernandesa, chwycił za róg i wydał na nim kilka dźwięków; odpowiedziano mu bardzo z blizka, zatrąbił powtórnie, i natychmiast otoczyło go wielu ludzi w barwie brunatnéj, wódz wskazał im ręką, a idąc przodem, prowadził ich do mostu St. Pablo, gdzie się ukryli w gęstwinie jodeł i fig dzikich.

»Nabić broń,« rzekł do nich z cicha. »Na cel — czekać mojego rozkazu. Opatrzyć pistolety.«

Zaledwie wyrzekł te słowa, kiedy don Alfons zbliżał się ku mostowi. Szumiące fale Jucaru głuszyły szczęk nabijanéj broni, lecz księżyc, który z za chmur łysnął téj chwili, mógł był ich wykryć przed okiem jednego z ludzi, którego Alfons wysłał naprzód dla obejrzenia drogi.

Hernandes ukrył się w najciemniejszą gęstwinę, i czekał póki hrabia nie wjedzie w najwęższą ścieżkę wąwozu: »Ognia!« krzyknął głosem stanowczym. Za tym piérwszym wystrzałem spadło dwóch ludzi, jeden z nich był lekarzem.

»Ognia!« nie przestawał wołać. Bandyci wypadli z okrzykiem tryumfu. Widzieli jak upadł koń hrabiego, lecz Alfons nietknięty porwał za pistolety, i sam biegnie na przeciw rozbójników.

»Śmierć i przekleństwo!« krzyknął dowódzca, i wpadł na don Alfonsa z całą wściekłością i zemstą — i wypalił do niego z dwóch pistoletów, lecz hrabia był wtenczas w cieniu i obadwa ciosa chybiły.

»Tyżeśto, ty zbójco! pamiętasz Sewillę!« krzyknął Alfons, poznając go przy świetle księżyca. I wymierzywszy weń, przeszył mu serce kulą... Hernandes ostro ugodzony, z bolu dziko się rzucił o dwie stóp od ziemi, i padł bez duszy. Widząc zgon swego dowódzcy, pierzchnęli baudyci.

»Zanieść trupa do zamku,« rzekł Alfons, »a koło don Baltazara największe mieć staranie. Może nie jest zabity.«

Na odgłos wystrzałów Maryja domyślała się nieszczęścia. Nie zostawując przy sobie tylko same kobiéty, wyprawiła uzbrojone sługi na pomoc swemu mężowi, a sama padłszy na kolana przy łożu syna, oczekiwała rozwiązania tego nowego wypadku.

»Ach!« zawołała do don Alfonsa, pokazując mu ramię swoje skrawione i trupa Juany; »nie miałażem przyczyny lękać się zabójcy?«

Lecz kiedy dowiedziała się o śmierci don Baltazara, zbladła i osłupiała: »Przeklętą jestem!« jęknęła ponuro. »Tyle istot niewinnych ginie dla mnie, i przeze mnie. Dla czegoż stawiłam opór zabójcy. Gdyby mię był zamordował, don Baltazar nie byłby zostawił sześciorga sierot, które teraz powiedzą: »Nasz ojciec został zabity za panią z tego zamku, za donnę Maryję...« Siostra Juany, wdziewając po niéj żałobę, rzeknie: »Ona zginęła za donnę Maryję.« A moja ciotka, wspominając śmierć swojéj córki, również powie: »Niéves zabita zamiast donny Maryi!« Przekleństwo, przekleństwo na mnie! Człowiek ten nie przestanie mordować, pokąd tylko ja żyć będę.«

»Maryjo!« zawołał don Alfons, tuląc ją w ramionach. »Czyliż ci nie mówiłem, iż Hernandes zginął z mojéj ręki!«

Zadrżała, jakby usłyszała po raz pierwszy, że zbrodniarz zabijać już nie może; lecz potém żałośnie wstrząsając głową, rzekła: »On zginął! — on? Nie, nie — on zginąć nie może. Czyś zapomniał, że się urodził w dzień wielko-piątkowy?...« Alfons przerażony stanem Maryi, wszystkich sił używał, aby jéj wybić ten przesąd, który zgubny wpływ na umysł jéj wywiérał, lecz ona odpowiadała zawsze: »On nie zginął — bo on zginąć nie może!«

Trzeciego dnia, w chwili kiedy urząd miał zabrać ciała, aby je przenieść do Ocanny i Cuensy, Alfons wziął Maryję za rękę, i sprowadził ją do sali dolnéj sklepionéj, z zasłoniętémi oknami, oświéconéj jarzącémi świécami, które paliły się około trzech trumien. Maryja wzdrygnęła się na ten widok; lecz Alfons skłonił ją, aby poszła za nim, a przystąpiwszy do największéj trumny, dał znak modlącemu się przy niéj dominikanowi, aby podniósł całun, i Maryja ujrzała przed sobą zabójcę! to nieszczęsne, zgubne, biédne dziecko! »Przybliż się Maryjo! już on nie straszny, przybliż się, patrz.«

»Nie, mój Alfonsie,« rzekła drżąc na wszystkich członkach, »on spi, nie budź go. Powiadam ci, że on spi.«

»Maryjo! on już nie żyje! patrzaj!«

»Już ja go tak widziałam — bladego, zmienionego.« Wszyscy zaręczali, że umarł. »A przecież, przecież zamordował Juanę i Baltazara. Nie wierzę, nie wierzę! On mnie jeszcze zabije!«

»I ty się lękasz przy mnie?« I don Alfons lekko pociągnął swoję małżonkę, która tuląc się do niego, drżała jak dziecko, które na widmo patrzy, i nie mogła oderwać wzroku od téj istoty, która nawet po śmierci tak przemocną wywiérała na nią władzę. Alfons wziął Maryję za rękę, i podnosząc całun, złączył ją z zimną ręką trupa — wydała krzyk, który rozległ się po gmachu, lecz już nie bała się więcéj — Maryja teraz przekonała się, że on nie żyje.

Maryja nic nie odpowiedziała. Sama z własnéj woli zbliżyła się do trumny. Cierpienie mówiło w jéj twarzy jak ciężką toczyła wewnątrz walkę, raz jeszcze dotknęła się zimnych zwłok Hernandesa. i potém upadając na kolana, wzniosła oczy do nieba i rzekła: »Niéves! siostro moja, módl się za jego duszę!«

WIZYJA POETYCZNA W NOC Ś. SYLWESTRA 1835 ROKU.

PRZEZ KORNELA MALCZEWSKIEGO.

»Jeszcze chwila — a moje państwo zaginie, jak kropla »w otchłani morza! (zawołał gasnący rok stary). Nowy »przybysz nadchodzi, ziemia wita go uroczystém milczeniem — a z nim gaśnie gwiazda mojego bytu!... Oto »północ bije z szyderczym odgłosem, a każdy dźwięk »téj północnéj muzyki, jednotonnie dwanaście razy po»wtórzonéj w szklannéj harmonice sfer, jest dla mnie »jednym z dwunastu apostołów śmierci, wysłanych od »nauczyciela wieków, dla zniszczenia kruchych zlep»ków mojéj czasowości w obrębie trzystu sześćdziesięciu »pięciu dni i nocy. Czas wygnańcowi z krainy teraźniéj»szości odprawić smutną podróż do licznych towarzy»szów kolejno minionych lat, którzy na niego z upragnie»niem czekają w smutném *memento mori* przeszłości. »Tam wzniosły duch ludzkości, co lata równa z wiekami, »każdemu w miarę czynów stosowne wyznaczy miejsce. »Ale ja, ta nula w wielkim amfiteatrze świata! jakież »mogę otrzymać miejsce w nagrodę mojéj nicości? jakiż »czyn uświetnił mię, tę lichą cięciwę czasu z wielkiego »koła wieczności. Przez wklęsłe źwierciadło mego serca, »nie przedarł się żaden szlachetny promień uczuć ludz»kich; podłość i kłamstwo odbiły go lotem pioruna, »nim potrafił dostać się do mego wnętrza. Próżno go»łębia niewinność żałosny głos podnosiła do mnie; nie»ruchomy, jak stojące bagnisko, w bezczynności czas »pędziłem. To *non far niente* przewiéwa wyludniony »bezczynnością gmach walącéj się dwunasto-miesięcznej »władzy mego trwania. Śmierć już rozwiesza swoje »całuny nad mym nieruchomym szkieletem. Ach! nie »umiałem być użytecznym dla ludzi! Gdzież jedna istota »żywa z całego tłumu ludzkiego jestestwa, coby dla mnie »wdzięczność czuła?... Rolnikowi obfite plony bez»cenną taniością zmarnowałem. Między ludźmi nie sta»rałem się rozszérzyć zasad trwałego szczęścia, któreby »się gruntowały na wzniosłych i niezmiennych prawdach. »Filozofów, którzy dźwigają na swych głowach ciężkie »systemy słownej mądrości, nie starałem się oświécić, »że próżnia panuje w ich układach. W poetów nie wra»ziłem tego przekonania, że poezyja jest owym majem »pociechy w piaszczystéj Arabii życia. Autorowie, nie »pomni na cel rzeczywisty prac umysłowych, zostali »dotychczas rzemieślnikami. Świat nie zrzucił z siebie »zbrukanéj przedawnieniem szaty obłędu. Słowem, cała »społeczność straciła część jakąś z pozostałych wawrzy»nów uszlachetnienia; a ja, obojętny, patrzałem zimno, »jak głaz, na tę metamorfozę ludzkości!«

Tak dumał rok stary, niezadowolony sam z siebie, jak z istot, które w nim żyły, rzucając wzrok rozpaczy na wszystko-świat Wszechmocnego, i na tę ziemię, która jeszcze, jak olbrzymi świat trupa, leżała w zimnych objęciach nocy.

Nagle miłe tony arfy niebieskiéj przebrzmiały w błękicie eteru, i duch czasu ukazał się w powiewnéj szacie błyszczącéj szmaragdami gwiazd, a miły głos, jak spiéw nieziemski harmonij sfer melodyjnie dał się słyszéć:

»Niebaczny! nie bluźń sam sobie, bo ja byłem twym opiekuńczym duchem, który tobą i twemi krokami kierował. W tym prozaicznym roku, oschłym w czyny prawéj chwały, wszystko się stało, co się stać mogło; lecz przyszłość, pełna świetniejszych owoców; w jéj łonie zachowane kamienie i drogie perły ludzkości... Każdy rok przeżyty, nowemu nieprzeżytemu użycza nowéj siły odmłodnienia; niech tylko każdy poświęci skarby swéj duszy prawdzie i słuszności.«

To mówiąc zniknął w eteru przestworzach, a z nim uleciał rok stary. Nowy rok zawitał brzemienny ciężarem życzeń całego świata. Czarowny dźwięk muzyki harmonijnémi powitał go tony. Świat cały w radości śród milijona życzeń przycisnął go do piersi, obiecując sobie takowych pewniéjszego skutku niż w przeszłym roku, świętszych, bardziéj ustalonych nadziei nad te, które przeszłość nocą pokryła, a życzenia pomyślności w teraźniejszym i przyszłym roku z głosem dziękczynienia do Boga — ozwały się z milijonowych ust.

Tymczasem na błękicie eteru zaczął się rozszérzać czarowny obłok; muzyka podobna do harmonij tysiąca

sfer obiła się o ziemskie ucho. Wśród lekkiéj osłony niebieskawych chmurek ukazały się fantasmagorycznie na tle kolorytu cienie przeszłości, jak olbrzymy człowieczeństwa, i znikły w szybkim przelocie. Pozostał tylko obłok czarowny, ale z niego spiéwała niewidoma postać, w około któréj obłok, śród uroczych tonów muzyki, jak zasłona przesuwał się. Tęsknota opanowała ludzkie serca, a głos podobny do wtóru tysiąca arf z pod niebieskawych obsłon obłoku dał się słyszeć, śród czarownego dźwięku muzyki, jak gdyby niewidoma postać ze swego nieba przemawiała harmonijnym głosem do swych dzieci:

»Witaj nowy roku! Witaj siło odmłodnienia na całym ziemiokręgu!«

»Duchu świata! Zwiąż tony ludzkich serc w jeden harmonijny jednobrzmian zgody, ażeby ożyły miłością. Daj im w zwycięstwach łagodność, w odwadze roztropność, w dążeniach szlachetność, w opinijach tolerancyję, pomiarkowanie w żądzach, ludzkość w każdym czynie.«

»Wszystko, co się dotąd stać mogło, stało się; wszystko, co się stać może, stanie się; bo nieprzemienne są prawa natury, jak l u d z k o ś ć sama, która jest nieśmiertelnością człowieka na ziemi.«

»Wyższéj władzy nie można sobie wymyśléć nad tę, która panuje nad umysłami i sercem! I mogłażby dla umysłu ludzkiego znaleźć się większa rozkosz i świętsze uczucie, nad użycie wszystkich swych zdolności na ten szlachetny cel: u s z c z ę ś l i w i e n i a r o d u l u d z k i e g o? Wszystko pokonywająca miłość zamieszka w waszych sercach; podobieństwo spólnych nieszczęść wyryje ją na waszém łonie.«

»Nie rozpaczajcie, że siejba waszych życzeń w przeszłym roku nie zazieleniła się pewną wróżbą rychłego plonu, że tu i ówdzie w pojedyńczych indywiduach przepadł nawet sam zasiew. Cieszcie się tém, że pojedyńczo uważając, każdy rok małym się wam wydaje, lecz w następstwie lat przyszłych wykryje się jego niewidoma władza. Powietrze jest błękitném, ale mała część onego, wzięta w odosobnieniu, jest bezkolorową; tylko cały wielki powietrzokręg otacza was niebieskim eterem.«

»Człowiek chciałby wszystko w czasie odziedziczyć, i szybko widzieć w doskonałości, ale drzewo ludzkości nie trzyma się pór roku podług kalendarza pojedyńczych widoków ludzi, i wiecznie zielone ma liście.«

»Nieszczęście tém jest większém, im to złe, które trapi ród ludzki, trudniejszém jest do uleczenia. Ale człowieka mniéj przeraża samo n i e s z c z ę ś c i e, niż to niespodziane i łączne jego uderzenie w przestrzeni i czasie. Mniéj was przeraża, że każda minuta na całéj ziemi sześćdziesiąt żywych istot z tego świata zabiera — niż zaraza jednego miasta. Zaćmienie słońca zakrywa bardziéj szybkiemu i błędnemu uczuciu waszéj duszy nieskończoną lampę światów, niż najdłuższa noc polarna. Ale sami ludzie nie myślą o tém, że byliby dotychczas tą polarną nocą obłędu, gdyby im słońce prawdy nie świéciło swą jasną pochodnią.«

»W różnych kolorach i odcieniach odbija się obraz życia ludzkiego; ale miłość zniweczy rozproszone rozdźwięki złego, jednym wielkim akordem zgody. Z tysiącznych tonów składa się istrument waszego serca; ale wszystkie sprowadzi harmonika zgody do jednego uczucia, uczucia spólnéj pomocy.«

»Wtedy około mnie i was, o których myślę, rozszérzy się wielka szczęśliwość, ale nie pytajcie się jaki głos z mgły wieków do was przemawia, bo to głos waszego serca.«

Te słowa były ostatniém brzmieniem niewidoméj istoty; gdy obłok rozwiał się i rozwijał w błękicie eteru, ale słów tych prawda mieszka w sercach milijonów.

— Ze Lwowa. —

Wydane przed kilku laty, i ile nam wiadomo nie wspomniane dotąd, a godne ze wszech miar wspomnienia jest wyszłe w Wilnie r. 1832 dzieło Józefa Lippomana: »Zastanowienie się nad mogiłami, pustémi siedliskami i zamczyskami, okopanémi Żmijowémi wałami,« (tak zwanémi od bohatera sławiańskiego Żmii). Krótki rys historyczny napływu z Azyi różnych barbarzyńskich ludów z poszukiwaniem, któreby z nich osypało te ziemne pamiątki, i rzut oka od utworzenia się państw sławiańskich na dalsze zdarzenia ludów, obsiadających te zabytki pamiątek aż do naszych czasow. Jestto piérwsze obszérniejsze opisanie tych starożytnych pamiątek sławiańskich. Autor wspomniał, że w pomiarze jeograficznym dóbr hrabiów Branickich na 20 mil jeogr. w zdłuż, a na 10 w szerz rozległych, brane były na plan te wały Żmii, a gdy tylko w téj przestrzeni je opisał, szkoda, że innych miejsc oznaczonych tym wałem nie dotknął, i że nam mappy onegoż nie załączył.

S. B. Rakowiecki, który polskich literatów z »Prawdą Ruską« obeznał, wydaje teraz w Warszawie swoje pisma rozmaite zeszytami dwojakiéj treści; jedna część zawiérać będzie wiadomości pod względem języka, literatury i historyi Sławian: n. p: wiadomości o dziełach Kollára, traktujących o imionach i nazwiskach sławiańskich; o pomyśle Chodakowskiego względem dawnych uroczystości w krajach sławiańskich; rzecz o stanie cywilnym dawnych Sławian; pismo Jungmanna o sądzie Libuszy i uwagi nad temże pismem. Druga część zawiérać będzie »Wiadomości wszystkim stanom przydatne.« Dotad wyszły 1834 r. dwa zeszyty. Życzymy, aby pan Rakowiecki wyrwał z zapomnienia (w którém u nas wszystkie, acz szacowne i pożyteczne pisma są pogrążone), swoje rozprawy. U nas autor musi pisać, za swoje pieniądze drukować, a drukowane obnosić, inaczéj nikt o nich nie wié!

Jan Chryzostom Pasek opowiada w Pamiętnikach swoich (które hrabia Edward Raczyński wkrótce z druku wyda) następujące zdarzenie: »Stojąc w Siedlcach umarło nam dwóch towarzyszów, starych żołniérzy, to jest: pan Jan Rubieszowski i pan Jan Wojnowski. Rzecz dziwna, że ci dwaj ludzie tak z sobą żyli, że jeżeli się temu dobrze powodziło, to i temu; jeżeli temu źle, to też i temu. Obaj byli Mazurowie, obadwaj żołniérze, obadwaj Janowie, obadwaj żonaci i podle siebie w rejestrze i obadwaj jednéj fantazyi. Gdy nas w nocy pod Chojnicami napadli Szwedzi; obudwóch porąbali, rapiérami pokłóli i za umarłych na pobojowisku zostawili, jednakże obadwaj z tak ciężkich ran wyleczyli się i obadwaj razem królowi (Janowi Kazimiérzowi) za pogrzeb dziękowali. Bo król widząc po okazyi tak ciężkie ich pokaleczenie kazał im dać 600 złotych, mówiąc, że to daje na pogrzeb, nie na leczenie. Przy podziękowaniu wzięli znowu od króla po tysiącu złotych; wojnę kontynuowali, w Danii z nami byli, i, jakoby kontrakt szczęścia między sobą zawarłszy, razem też obaj w Siedlcach zachorowali i jednego dnia pomarli.« (G.P.)

Dr. Labus w Medyjolanie, który składał napisy na pomnik w Chełmie (Kulm), otrzymał od księcia Metternicha, kanclérza Państwa, w skutek uchwały J. Ces. Król. Mości Cesarza, bardzo pochlebny list, wraz z jednym egzemplarzem złotego z téj okoliczności bitego medalu, z dwoma litografowanémi obrazami pomnika i z 25 dukatami, w nagrodę i odznaczenie się.

M o d y. Z nadchodzącém zimnem powróciły znowu palatiny i boa. Najulubieńszém futrem są gronostaje, nawet i boa bywają z tego futra robione. Chustki do nosa obszywają teraz tak szérokiemi i bogatémi koronkami, że ten wydatek dla wielu stając się za uciążliwym i zbytkownym, zastąpiony być może przez tak zwane *Valeriennes*.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.